№ 11. Warszawa, dnia 5 (17) Marca 1898 r. Rok XXXIV.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Kazimierz Gliński.

Dotknij twego serca—
tam geniusz!
(Alf. de Musset).

Za dawnych, bajecznych moich czasów, kiedy mniej praktyka życia, a więcej jego teorye mnie zajmowały, poznawałam mnóstwo ich po kolei, namiętnie szukając takiej, któraby, na ziemskie padoły ściągniona, rozwiązywała nie—jedno oderwane jakieś zagadnienie, lecz była miarą i wagą wielu rzeczy, spraw, uczuć, myśli, natchnień, cierpień, losów, a piętno swe kładła, piętno pierwotne i potężne, zarówno wyraźnie na jednem sercu człowieka, jak i na całej ludzkości. Chciałam znaleźć jakiś probierz olbrzymi rozmiarami a drobiazgowo wrażliwy, jakiś motor rządzący wszechstronnie, wszechwładnie, jasno i prosto, wspaniale, a wyraźnie, żywiołowo, kosmicznie, wiecznie. Żadna filozofia nie dawała na to odpowiedzi; na żywiołowe pytanie, odpowiedziała mi — przyroda. Wśród starych i uczonych ksiąg stosu, z szeregu najdawniejszych przeczuć myślicieli i najświeższych badań uczonych, wyłoniła się mądra a piękna, obliczalna a cudowna: teorya mgławicy i powstającego w niej słońca. Ciepło, światło, ruch, ład, porządek i namiętna siła elementu złożyły się na niezbite prawidła powstawania bytu wyosobnionej jednostki planetarnej, a zarazem stały się miarodajną zasadą rodowodu wszystkiego, co ma w sobie żywioły dające prawo istnienia na jakimbądź ono objawia się szczeblu materyi czy ducha. Na tej zasadzie widziałam, patrząc w losy człowieka, jak on wiruje długo w mgławicy lat dziecinnych, jak potem znajduje swój własny kierunek, swe wewnętrzne ognisko ideałów, swoją oś przekonań, swój ruch temperamentowy, swój słoneczny system przeznaczenia i wyosobniwszy się na samodzielną istotę, krąży wśród atmosfery ludzkiej jako jednostka wyrazista, prawidłowa, a niekiedy błyszcząca na daleką przestrzeń ducha. Na tej samej zasadzie ludzkie szczęście widniało mi najpierw mgławicą marzeń i pragnień, dalej skupiało się około jednego uczucia, rozpalało się w ognisko miłości, poświęcenia, pracy, w ruch ten wciągało inne serca i umysły i grzało słonecznie, oświetlało ciemność i stawało się podwaliną spokoju i harmonii świata. Prawidło to żywiołowe witałam dalej w sztuce, w natchnieniach artystów, w arcydziełach mistrzów, w pracy talentów i geniuszy i zawsze ten sam porządek, to samo bogactwo, ten sam ruch, potrzebnym był dla stworzenia rzeczy nowej, indywidualnej, potężnej, żywotnej i pięknej.

Kazimierz Gliński.

Dusze artystów ludzi natchnionych, mianowicie dusze poetów były tak pokrewne swym wewnętrznym fermentom do owej teoryi mgławicy, że dotykalną oczywistością wydał mi się ów tajemniczy

związek pierwowzoru tworzenia z twórczością wieszczów. Tu i tam zapas palnego materyału, zrazu chaotyczny, później wytrawniejszy, więcej skupiony, ale koniecznie obfity; tu i tam ruch naturalny, pęd wrodzony, kierunek siłą elementu obrany; tu i tam tworzące się ogniska główne skupiające w swem wnętrzu całą pracę żywotną, i nakoniec tam i tu piękno charakterystyczne wyosobnionej jednostki słońca i talentu. Tak rodzą się na niebiosach gwiazdy i tak samo rodzą się na ziemi i wytwarzają natchnienia Kosmiczne prawo nad niemi jedno, cudowne, nieodwołalne.

Mam dziś do czynienia z gwiazdą. Nie na niebie, lecz na—ziemi. Bliższa nas -niż błękitów precyozy, nietylko świeci, lecz i—grzeje.

Śliczna gwiazda—talentu Kazimierza Glińskiego. Nie będę tutaj kreśliła szczegółowo całokształtu literackiej pracy tego bogatego umysłu, żyznego serca i obfitego natchnienia, nie będę też chwytała jednego promienia tej gwiazdy i z niego sądziła od ręki całość, jak to się zdarza, ani też rozłamywała tej ognistej duszy na jakąś łamigłówkę narzuconego manierowo sądu współczesnego, co także się zdarza; nie, w całej tej błyszczącej jednostce, bardzo indywidualnej, pragnę tylko odszukać owego kosmicznego prawidła, owego związku z nieskończoną zasadą tworzenia, owego rodowodu żywiołowego, który właśnie daje pokrewieństwo światła z gwiazdami, braterstwo z pierwowzorami nakreślonemi ręką najwyższego Twórcy.

Nie odrodził się Gliński od swoich pięknych sióstr na niebie, nie weźmie mi więc za złe, że sięgnę aż do mgławicy, z której natchnienie jego wybuchnęło. Wielkie bogactwo materyału palnego, nieutulona dynamiczna siła, temperament tabunowy prawie, coś centaurowego w umyśle całym długo musiały a nieraz boleśnie fermentować w piersiach młodzieńca, zanim z tej chaotycznej mgławicy psychicznej wyosabniać się zaczęło—ognisko natchnienia. W tym środkowym punkcie biło serce wrażliwe, uczuciowe, a dotkliwie doświadczane przez losy; ale pomimo starć i trudów, pomimo losów przeciwności, wryta głęboko szlachetna i dumna oś przekonań, wytworzyła kierunek z którego nie zeszedł już ani człowiek, ani poeta. Rozpoczął się pęd twórczy, bardzo szybki, namiętny niemal, bujny jak stepowe łany, a z owej pierwotnej mgławicy pozostała na długo, do dziś prawie, jakaś brawura burzliwa, która wiruje we wszystkich utworach Glińskiego z rozmachem to dramatu, to humoru, to tęsknoty bezdennej, to namiętnego uniesienia. Zasób uczucia i myśli kipi w piersiach poety, rozlewa się na wszystkich niemal polach i rodzajach literatury a skupia się z artystyczną miarą w dramatach i lirycznych poezyach. Obfitość materyi, ruch silny i nieustanny i wybitność kierunku są głównemi piętnami owej zasady słonecznej, wedle której wychował się duch Glińskiego. Te właśnie zasoby są jego prawem twórczem, jednoznacznem z prawem do sławy. Żadna szkoła, żadna metoda, żadna rutyna a nawet wykształcenie nie naleje ognia do czary, nie da siły, nie da tego wewnętrznego ruchu, który tworzy a który trzeba mieć, żeby go mieć. Trzeba być z rodu talentów, żeby być talentem, usiłowania nie pomogą tu nic, jak też nie wskórają nic obniżanie i wykręcanie czyjejś wartości. Taki żywiołowy talent jak Glińskiego z trudnością znajduje bezstronnego krytyka, bo jeśli z jednej strony nie uczyni sobie tych braćmi wedle Słowackiego „których zaćmi“ to z drugiej krytycy z zawodu mający przedewszystkiem do czynienia z metodą, formą, prawidłami będącemi na czasie, rażeni będą gorącym, nieraz zuchwałym rozmachem talentu, który przeskakując czasy, zwyczaje, panującą modę i pleśniejące prawidła, rzuca się w otchłań ludzkiego żywota po to jedynie, aby gromem dramatu, wydobyć iskrę prawdy społecznej, narodowej, etycznej, aby delikatnem dłutem liryzmu zarysować zygzak psychicznego nastroju, błyskawicę krótką a bolesną wzruszenia, lub subtelny arabesk melancholii; aby ostrzem humoru i wybuchem śmiechu rozbroić tłum a w rozgrzane wesołością piersi rzucić mu przestrogę, zarzut lub pogróżkę. Wszystko to właśnie czyni talent Glińskiego, przeskakując literackie przeszkody a goniąc cel swój zawsze—ideowy.

Konkursowa to jazda, choć, ile pamiętam, na żadnym konkursie nie dał żaden aeropag nagrody Glińskiemu a w krytykach i sprawozdaniach z bardzo małemi wyjątkami nie oceniono talentu tego z gruntu, lecz tak, pozornie, urywkowo, wytykając właśnie omijanie brawurowe prawideł. A jednak Gliński jako liryk ma czytelników i wielbicieli, a jako autor sceniczny zna oklaski i zapał publiczności. Bo czytelnik i widz odczuwa w nim żywioł, a nie śledzi formułek, czuje bijące, nawet gwałtownie walące serce autora, i to go porywa, a nie odmierza scen, nie pyta o dokładną w drobiazgach fotografię danej historycznej postaci, byleby mówiła po ludzku prawdę uczucia, namiętności, zawiści, wzgardy, dumy i tego wszystkiego co się od wieków kłębi w ludzkiej duszy, czy ona mieszka w piersiach Almanzora i jego żołnierzy czy w piersiach Glińskiego i jego słuchaczy. W talencie Glińskiego znać ród, pochodzenie w prostej linii od wielkiego pierwiastku natchnienia, od pierwotnego twórczego pnia sztuki, od tej przedwiekowej mgławicy poezyi dającej ogień, ruch, i tę prześliczną, błyskawiczną świetność, której tajemnica leży w uderzeniach serca a nie w wysiłkach głowy, niewątpliwie wiedzą wspierającej sztukę, ale nikogo nią obdarzyć nie mogącej kto już od losu, z urodzenia obdarowanym nią nie jest. Talent Glińskiego bujny na rozmaitych polach tworzył, wlewał się w różne formy i wszędzie zostawił ślad swej siły, szczerości, humoru i uczucia.

Ta obfitość i różnorodność raziła również krytyków, czyniono nawet z niej zarzut, zarzut niczem nie uzasadniony, bo jeśli dramaturg i liryk pisze swe dzieła, które go w literaturze czynią niepospolitym dramaturgiem i lirykiem, toć przecie obwiniać nie można autora za to, że i dobrą powieść napisał, i wyborną farsę, i śliczną książeczkę dla młodzieży i naiwny wierszyk, dla dziecka i swobodną pogawędkę dziennikarską. Tak samo malarz wielki obok pysznych obrazów robi rzeczy drobne, szkice, ilustracye, dorywcze winiety, tak samo rzeźbiarz, obok statuy, grupy, popiersia, wykonywa ulotne drobiazgi, ozdoby architektoniczne, charakterystyczne figurki. Czy sztuka ma im to za złe? Bynajmniej. Ona wie, że bogate źródło turbiny górskiej wprowadza w ruch główną pracownię fabryczną ale równocześnie obraca dalszemi wodami codzienny młyn chleba powszedniego.

Artysta pracuje najpierw dla sztuki, a potem na człowieka, a wszędzie swe piętno wyciska, które na codziennej nawet jego robocie pozostawia stygmat wyższości. Czynienie zarzutu z takiej rozrzutności talentu—to co najmniej—dziwne. Oto co zauważyć by można, nie jako zarzut, lecz jako spostrzeżenie tylko, że autor od czasu do czasu w uniesieniu uczucia, gniewu namiętności, dumy, rzuca się w otchłań swej mgławicy nie przetrawionej jeszcze do dna, nie wyfermentowanej w całości, i wtedy opanowany rozhukanym żywiołem psychicznym nie chce znać miary uniesienia. Takie sceny są wstrząsające, można je widzieć w „Annie Firlejównie,“ w „Obłąkanych,“ opanowywa nas niepokój, strach i groza, pragniemy wyjścia, rozplątania tej zawikłanej a bolesnej przędzy cierpień, a dramaturg pozostawia nam—trupy. Wzniosłość przeszła w okropność, ale i to jest charakterystyką żywiołu. Burza jest piękną, póki grzmi piorunem i drogowskazem miga błyskawicy, ale jest straszną, gdy druzgocze, niszczy, zabija i przerażeniem napełnia przyrodę.

Na objęcie tak gorącego żywiołu jak natchnienie Glińskiego, potrzebną była nie lada forma aby wytrzymać i ująć i umiarkować ten kipiący zdrój. Poetyczną formę i prozy i wiersza, a właśnie mianowicie wiersza, opanował Gliński zupełnie. Zdarzyło mi się czytać niedawno, jakoby forma wiersza miała już być na dziś przestarzałą w dramacie, jakoby to już dziś należało do przesądów pisać sztukę teatralną wierszem, i jakoby ten przesąd już niejeden lot zwichnął. Na żadną z tych tez się nie zgadzam. To co jest piękne istotnie, jest zawsze piękne, a więc nie może być tu mowy o przestarzeniu się piękna; dramat pisany wierszem nic na tem nie traci, jeśli forma dorównywa treści i owszem, wiersz, rytm, rym, potęguje wrażenie, uwydatnia główne miejsca, a całość niejako izoluje od tej codziennej życia gwary i powszedniości, ponad którą jest wyniesiona i ponad którą treść właśnie dramatu górować powinna.

Komedya może obejść się bez wiersza, maluje ludzi w ich codziennych stosunkach i najczęściej salon ma za arenę, ale dramat, ten skupia w sobie nieraz długich lat bohaterstwo, długie dusz męczarnie i walki duchowe i jeśli temu wszystkiemu da poeta wyraz bijący jak dzwon donośnie, czysto i artystycznie, to właśnie tą formą piękna unosi rzecz całą ku światowi ideału, kędy dramatyczne zagadnienia dojrzewać i rozstrzygać się zwykły. Komu „wiersz aż lot zwichnął,“ ten chyba nie musiał tam mieć w skrzydłach wielkiego pędu, albo się może mylił, ramiona tylko biorąc za skrzydła; naturalnie kto nie ma siły wytrwać w wierszu przez cały dramat, niechajże nie pisze ani probuje, lecz kto może, kto tak swobodnie, świetnie włada formą rymowaną jak Gliński, czemu ma rzucać tę piękną czarę cyzelowaną, skoro falerno jego uniesień lepiej stokroć wygląda w drogocennym puharze poezyi niż w żelaznym kubku prozy. Zresztą, właśnie ta charakterystyczna strona autora, ta jego żywiołowość tworzenia daleko naturalniej się wciela w rytm poezyi, a proza nie dałaby mu tego tententu i wichury stepowej, bez których dusza Glińskiego żyć nie może.

Oto w ogólnym zarysie oblicze poety, główny koloryt jego natchnienia, profil jego talentu, rodzaj geologicznego pokładu ducha, zkąd czerpie swe cechy i moc; kto inny w naszem piśmie określa bliżej działalność literacką autora, mianowicie jako dramaturga, mojem pragnieniem na dziś było oświetlić wewnętrzną tajemnicę twórczą poety, który zawsze tak serdecznie przemawia do naszych czytelników ukryty za swemi znakami zapytania (??).

Niechże mi nie ma za złe nasz cenny współpracownik, jeśli przy ogólnej pochlebnej wrzawie, wywołanej utworami dramatycznemi na obu naszych pierwszorzędnych scenach, jeśli przy tem długiem a podniosłem wrażeniu, jakie wywarły jego dramatyczne natchnienia, sięgnąwszy aż do mgławicowych głębin talentu, dotknąwszy słonecznego serca poety, mówię czytelnikom naszym: To On—to ten sam—dzisiejszy żniwiarz bujnie sianej pracy.

Szczęsna.

Z GŁĘBI DUCHA.

IV.

Dlaczego za mną idziesz, szary cieniu?
Dlaczego kształt twój tak się za mną snuje?
Daleko jesteś... ja cię jednak czuję
W tem niepochwytnem twojem przybliżeniu...

Po szybszej, cięższej walce w mem cierpieniu,
Gdy serce moje w sobie się pasuje,
Czuję jak dłoń twa ku mnie się kieruje
I twe pragnienia odczuwam w jej drżeniu.

Ach, ja nie mogłam tobie nadać kształtu,
Z mej własnej winy ty w nicość zapadłeś,
W chwili gdy chciałeś być w pełni szczęśliwy—

Lecz odtąd, mszcząc się uczuć twoich gwałtu—
Że nie zapomnę ciebie, dobrze zgadłeś...
Więc dążysz za mną—cieniu szczęścia mściwy!

V.

O, powiedz, ty mi, jeśli możesz, powiedz,
Dlaczego moją tak złamałeś duszę?
Że teraz z trudem takim kroczyć muszę
Przez ten samotny, doczesny manowiec.

Wszystko zastygło w ten martwy lodowiec,
Ostatki marzeń moich idąc, kruszę,
A gdy się czasem jeszcze żywiej wzruszę
O mego szczęścia uderzam grobowiec...

Zkąd ci się wzięła ta wielka potęga
By serce bujne zamienić w pustynię
I nakryć mrocznym całunem nirwany...

Jak to się dziwnie los dwóch duchów sprzęga!
Na mego szczęścia dziś stojąc ruinie —
Złorzecząc tobie—kocham cię—kochany!

VI.

— Nie mów że smutek jest ciężkim kamieniem
Który przywala bezpowrotnie ducha,
I że pod jego wieka grubym cieniem
Panuje tylko noc, bezgwiezdna, głucha.

— Nie, smutek siłą jest, choć jest cierpieniem
I jako żywioł twórczy tak wybucha
Światłem, i czynem, ofiarą, natchnieniem,
Jako potęga serca lub jak skrucha.

Bo on jak ogień ludzkie serce czyści,
Ze wszelkich błędów, żądzy, nienawiści,

Jak niewidzialna zbroja przyobleka
Pełną zaburzeń w głębi pierś człowieka;

Prawda?—Ach, czemuż, choć tak silny, butny,
Wspaniały smutek... taki jednak—smutny!

VII.

Dusza poety tak jak rtęć wrażliwa
Szybko przelata wzruszeń swoich stopnie,
I raz, gdy marzeń swoich szczytu dopnie
To się unosi dumna i szczęśliwa —

To znów gdy smutków echo się odzywa
A myśl się rzuci w nurt ich nieroztropnie
Szarpie się dusza i cierpi okropnie
I coraz głębiej w wnętrze swe zapływa...

O, ludzie, tylko nie twórzcie narzędzi
Na określanie stanów jej żywiołu,
Bo czy się skupia, czyli w otchłań pędzi,
Czyli się wznosi, czy spada do dołu —
Jedna jest tylko miara jej natchnienia
Ciepło miłości—lub ucisk cierpienia...

Szczęsna.

POGAWĘDKA.

Minął karnawał wesoły a huczny, przelała się fala pieniędzy. Gdybyśmy mogli obliczyć ile łokci jedwabiu, aksamitu, wstążek i koronek wyszło i ile zapłacono za nie, zdumiałby nas ogrom wydanych pieniędzy i ilość zużytkowanej materyi. Jestże to marnotrawstwem, bezmyślnem trwonieniem pieniędzy których strumień obfity w jakieś morze bezdenne popłynął?

Nie!

Na pozór nam się tylko zdaje, że grosz stracony został. Prawda! straciła go jednostka X. lecz jednostka Y. zyskała. Zyskały fabryki wyrabiające materye, zyskały sklepy bławatne i galanteryjne, zyskały krawczynie i wreszcie zyskała o parę groszy więcej biedna szwaczka, choć od podwojonej liczby godzin pracy czuje ból w piersi zapadłej i grzbiecie zmęczonym, oczy łzą zapływają, czerwone powieki raz w raz się mrużą przez sen łaskotane, a palce bolą od ukłuć niemiłosiernej igły, przez mózg zaś przesuwają się obrazy jakieś mgliste, jakieś w piersi pożądania się budzą, niewołane wypływają westchnienia a na dnie serca osiada smutek cichy, żal niemy do Boga, do ludzi, do losu za odsunięcie ich od tej uczty, do której tylko szczęśliwi zasiąść mogą. Mimo to wszystko każda z tych biednych wyrobnic igły, jak kania deszczu oczekuje karnawału. Bolą oczy, piersi, palce ale choć głód nie pali wnętrzności, choć się przewlecze ten żywot marny, opromieniony złudną nadzieją doli lepszej.

Świat się bawi, szaleje, pląsa i śpiewa, bo bawić się, szaleć, pląsać i śpiewać musi; stroi się w kwiaty i szaty drogie, bo blask zewnętrzny podnosi urok zabawy każdej. Smutnem to jest tylko, że grosz przez najmożniejszych rzucony nie idzie do rąk najbiedniejszych, lecz przez tysiąc stopni przechodzi, zaściełając je warstwą coraz mniejszą, nim spadnie na ostatni jakąś monetą zdawkową. Na tym ostatnim znajduje się ten świat wyrobniczy, z którego żyją właściciele bogatych firm kupieckich.

Tak było i tak jest—ktoś mi powie. Lecz czy tak i nadal będzie?

Pytanie!

Z morza krzywd i łez może się podnieść jedna, olbrzymia fala i o wszystkie łzy i krzywdy się upomnieć. Męczą się rozumy nad rozwiązaniem palącego pytania, lecz męczą się daremno—pytanie samo się roztrzygnie.

Karnawał minął, wylał się strumień złoty.

Gdzie wsiąknął?...

Wiemy jedno tylko że ominął pole, na które choć drobnym deszczem spaść powinien.

Oto nadszedł czas *wpisów*, chwila trwogi dla rodziców, którym los dzieci na sercu leży. W nauce spoczywa młodego pokolenia przyszłość, lecz posiąść tej nauki, nie mając ku temu materyalnych środków—nie można. „Rodzice niezamożni ze strachem myślą, czy przed ich dziećmi nie zamkną się podwoje szkoły,“ gdy w terminie oznaczonym nie będą w możności wnieść opłaty wpisowej! — czytamy we wszystkich prawie dziennikach—i zwracają się wszystkie do znanej z miłosierdzia Warszawy, zwracają się z ufnością, która dotąd zawiedzioną nie została...

A potok złota przepłynął i wsiąkł gdzieś!..

Gdyby to tylko ta jedna rana do zabliźnienia była, zagoić by się ją udało raz na zawsze, ale ran tych jest wiele i dużo balsamu zużyć potrzeba. W N. 50 „Kuryera Codziennego“ czytamy artykuł p. n. „Trochę powietrza!“—Dla kogo o to powietrze szanowny autor się domaga, powiedzą nam słowa pierwsze:

„Ustawiczna walka o nędzny kawałek chleba, wiele przykrości a nawet upokorzenia i przyszłość bez jutra—oto dola nowych nauczycielek prywatnych.“

Dosyć! możemy już całego artykułu nie czytać.

Nauczycielka! ten wyraz powiedział nam wszystko. Wiadomem jest przekleństwo: Bodajbyś cudze dzieci uczył!..

Praca zmudna, wymagania ogromne, liche wynagrodzenie, przyszłości żadnej — oto los nauczycielek. Od rana do zmroku przebiegają ulice miasta, bez chwili odpoczynku, bez możności nawet pomyślenia o sobie. Zużywa się umysł, rozstrajają się nerwy, jedyną zaś a bardzo smutną pociechą jest „Schronisko“ na stare lata. Wynagrodzenie nauczycielek jest tak małe, że nawet w porze letniej nie mogą zamarzyć o opuszczeniu choć na tygodni kilka murów wiejskich, by piersi świeższego zaczerpnęły powietrza, wzrok, choć na chwilę, w morzu zieloności zatonął, umysł orzeźwiał i stał się do dalszej pracy zdolniejszy. A jednak społeczeństwo, przy nadmiernie małym wydatku pieniężnym ogromne odnosi zyski z pracy tych istot. Słusznie powiada autor wspomnianego wyż artykułu, że „potrzeby zapewnienia świeższego powietrza ubogim nauczycielkom prywatnym powinni odczuć ojcowie i matki, których dzieci korzystają z ich nauki. Pomiędzy rodzicami wiele jest ludzi zamożnych, dla których ofiara, w tym celu poniesiona, nie zrobi wielkiej różnicy w budżecie wydatków. Urządzenie dla niezamożnych pracownic na niwie pedagogicznej internatu w okolicach Warszawy, w położeniu zdrowem i wśród lasów, byłoby środkiem najodpowiedniejszem.“

Zapewne, że *zamożni*, korzystający z usług kobiet poświęcających się nauczycielstwu, powinniby najpierwsi wyciągnąć rękę pomocy. Ale, powiedzmy szczerze, czy w ogólnej massie dobrych uczynków, mniej zamożni, biedni nawet, na pierwszem nie stoją miejscu? Nieraz setka dana przez bogatego stokroć jest mniejszym datkiem od kopiejki rzuconej z ubocza. Ta setka może być resztą zbywającą od stołu obfitości, kopiejka zaś bywa czasem odjętym pokarmem od ust. Każdą zresztą niedolę odczuje głębiej ten, co sam przez nią przeszedł—*bezpośrednio* do tych ostatnich zwróćmy się o pomoc, *pośrednio*—do pierwszych. Urządzeniem internatu dla nauczycielek zajął się Petersburg, i ta wiadomość, podana w pismach rossyjskich, podała myśl autorowi artykułu do zwrócenia się z myślą podobną w stronę Warszawy. „Do założenia takiego zakładu, pożytecznego i potrzebnego zarazem, jak najgoręcej zachęcamy nasz ogół, któremu przykry los nauczycielek obojętnym być nie powinien. Myśl naszą rzucamy na czasie, ażeby, przy współdziałaniu ludzi dobrej woli, internat dla nauczycielek mógł powstać jeszcze w roku bieżącym i ażeby tegoroczne lato zapewnić już mogło tym skromnym pracownicom tak dla nich potrzebny odpoczynek na świeżem powietrzu.“

Z całym zapałem podchwytujemy myśl szanownego autora i wzywamy wszystkie bez wyjątku czytelniczki „Bluszczu“ do zajęcia się nią w kole najszerszem znajomych swoich i o przemienienie ją w czyn jaknajśpieszniej. Najskuteczniejszem w tej sprawie może być wdanie się kobiet, a nie o kilka setek tu chodzi, lecz o kopiejki, któreby na setki i tysiące liczyć można było.

Każda praca jest ciężka, do każdej bierzemy się z pewnym przymusem, jeżeli ona jest nam narzuconą przez siłę okoliczności, nie daje żadnej nadziei i polepszenia bytu na jutro. Wyjątkowi są ludzie, którzy z zaparciem się siebie poświęcają się dla drugich. Lecz świat się nie z takich składa. Najbliższa jest zawsze koszula ciała, o innych myślimy i to nie zawsze—później. Ukształtowane jednak tak są stosunki ludzkie, że, pracując dla siebie tylko, mimowoli pracujemy dla drugich.

Miła zaś praca jest ta, która daje ci możność uprzyjemnienia życia, pewność zapewnienia choćby znośnej tylko przyszłości, choćby ta znośna przyszłość starości sięgała. Rozkosz dopiero pracy rozumieją ci tylko, jeżeli ona odpowiada usposobieniu człowieka, wypływa z poczucia obowiązku, daleka od łamiącego musu, którym jest—potrzeba utrzymania życia.

Do rzędu pracowników, których praca jest najuciążliwszą i najbardziej godną politowania—zaliczam zecerów. W stosunku do nich są częstokroć literaci wprost barbarzyńcami. Mówię

to śmiało, gdyż jednym z tych barbarzyńców mimowolnych jestem ja, piszący egipskiemi hieroglifami. Odczytywanie podobnych bazgrot jest niemałą męczarnią dla oczu, jak równą jest męczarnią całodzienne stanie przy kaszcie, ruch rąk i palców. Jest jednak nadzieja, że i dla tych pracowników jutrzenka zabłyśnie. Mamy już wyborne maszyny do pisania, które z czasem każdy literat mieć u siebie będzie obowiązany. Szybkość pisania jest zdwojona, pismo zaś wychodzi wyraźne: podobne do drukowanego. Potrzeba tylko wprawy. Miesiąc jednak czasu wystarcza, by względnie szybko pisać można było. Drogość tylko maszyny nie pozwala każdemu z piszących w nią się zaopatrzeć. Jednorazowy wydatek 250 rubli dla niejednego stanowi szkopuł, którego usunąć nie jest w stanie. Przy większem użyciu i cena maszyny zmiejszyć się powinna. Z czasem więc hieroglify panów literatów zmienią się w piękne a wyraźne pismo. Pod tym względem kwestya jest już rozstrzygnięta. Lecz oto i druga, nie mniej ważna, zdaje się, że już rozwiązaną została. Czytamy w jednem z pism, że wynalezioną została maszyna do „składania,“ która ogromnie ulży dotychczasową pracę zecerów.

„Maszyna ta—czytamy—jest opatrzona w klawisze, podobnie jak maszyny do pisania, może być zaś obsługiwana nawet przez osoby niewykwalifikowane, na zecerów.

W Ameryce maszyny takie znalazły już szerokie zastosowanie. W celu rozpowszechnienia ich w Europie utworzyła się w Berlinie spółka p. f. Ludwik Loeve specyalnie dla budowy takich maszyn. Obecnie, po uprzystępnieniu ceny, są one nabywane do różnych zakładów drukarskich. Drukarnia „Herolda“ w Petersburgu posługuje się już taką maszyną.“

Osładzanie ciężkiej doli bliźniego, w jakibądź przedsięwzięty sposób, niczem innem nie jest jak tylko wielkiem dziełem miłości bliźniego. Zdawałoby się, że humanitarność jest naszego wieku wyrazem. Inaczej jednak sądzą ludzie mieszkający w państwie „bojaźni bożej,“ którzy pierwsi postawili zasadę siły przed prawem.

Domyślić się łatwo, że mówimy o Niemcach. Wiadomym jest ich egoizm, przejawiający się choćby w zamknięciu politechniki charlottenburgskiej *dla cudzoziemców*. Zamknięcie jednak owej politechniki jest początkiem rozleglejszego planu. Czytamy w „Deutsche Zeitung,“ że— „dążyć należy do tego, aby zamknięto także Akademie techniczne pruskie w Hanowerze i Akwisgranie, następnie zaś wszystkie niemieckie, a więc: Darmsztadt, Sztudtgardt, Karlsruhe, Monachium, Drezno i t. d.

Nie trudno zrozumieć, że choć się tu o *cudzoziemcach* mówi, ostrze całej sprawy jest przeciw Polakom skierowane. Wspomniana gazeta nie ukrywa zresztą swej myśli, proskrypcya *cudzoziemców* w technikach już jej nie wystarcza, radzi otwarcie, ażeby Polakom, nawet poddanym pruskim, utrudnić przystęp do wszystkich źródeł fachowej wiedzy.

Świat był barbarzyński — mówimy dzisiaj — barbarzyńskiemi więc drogami szedł i ostrzem miecza torował sobie drogi do wrót postępu. Lecz jeśli gwałt wszelki w chwili mordów wojennych, wytłumaczony jeszcze być może—jak wytłomaczyć, w chwili powszechnego spokoju, ową nieuzasadnioną mściwość potężnego państwa, do własnych skierowaną nawet poddanych, którzy, jak inni, płacą podatek krwi i mienia. Nauka zresztą dotąd kosmopolityczną była — nie odmawiano jej nikomu. Ale junkier pruski i na ten wynalazek się zdobył.

Miesiąc ostatni zapisał się w kronice naszej stratami dużemi. Dzwon za dzwonem uderzał i kładli się ludzie do grobów, którzy wielki żal ponieśli za sobą i po sobie szczerbę zostawili nie małą. Zaledwie pożegnaliśmy ś. p. Borkowską, jak oto zasłużony mąż a człowiek zacny D-r Karol Kulesza udał się w cienie mogilne a nazajutrz do głębi poruszeni zostaliśmy śmiercią ś. p. D-ra Romana Jasińskiego, męża wielkiego serca i nauki. Jednocześnie prawie pożegnał się z tym światem Erazm Nowakowski, profesor instytutu muzycznego jeszcze za czasów dyrekcyi Apolinarego Kątskiego, człowiek prawości wielkiej i żelaznego charakteru, ulubieniec uczniów i uczenic, których do siebie przywiązać umiał słodyczą obejścia i sumiennem spełnianiem przyjętych na siebie obowiązków. Nader boleśnie nas dotknął zgon Antoniego Kurzawy, twórcy „Mickiewicza budzącego genjusza.“ Był to bezwątpienia talent ogromny, który mógł się potężnie rozwinąć i stać chlubą naszą, ale złamały go ciężkie warunki życia, lot orli zwichnęły ostre pociski ludzi, które mu odebrały wiarę w talent, napełniły serce goryczą i przedwczesną mogiłę wykopały. Dzieł swojego dłuta niewiele pozostawił po sobie. „Siewacz,“ „Polonez,“ „Oberek“ i głowa Mickiewicza pozostała z rozbitego posągu—oto prawie cała spuścizna po ś. p. Kurzawie. Po dramacie z grupą Mickiewicza, usunął się od ludzi—i zmarł w Krakowie trapiony melancholią cichą.

Na smutną jesteś, mości kronikarzu, nutę nastrojony, nic że nam już weselszego dziś nie powiesz?

Chcecie? więc oto parę wiadomości zakomunikuję wam, zebranych ze stron różnych.

Oto przykład hartu, dzielności charakteru, samopomocy i pracy wytrwałej około oświaty ludowej.

We wsi Wysoka pod Szydłowcem w gubernii Radomskiej mieszka włościanin, który się zowie Michał Mosiołek. „Wszystko co umie i co posiada własnej zawdzięcza energii i pracy. Nauczywszy się w szkółce elementarnej czytać i korzystając z udzielanych mu następnie przez znanego z działalności na polu filantropii oświaty ludowej obywatela ś. p. Błażewicza, rad i wskazówek, szedł Mosiołek już dalej o własnych siłach a dzisiaj, młody, bo ledwo trzydziestoletni człowiek, w kwestyach dotyczących stanu włościańskiego zabiera głos publicznie, zadziwiając nas nietylko ich znajomością ale jednocześnie i głębokością rozumu, obywatelskością uczuć oraz praktycznością i jasnością poglądów wypowiedzianych piękną i najpoprawniejszą polszczyzną.“

Mosiołek jest gospodarzem wiejskim. Pracuje na roli w chwilach zaś wolnych oddaje się introligatorstwu, czas zimowy przepędza na kształceniu siebie i dawaniu dobrych rad innym, co oczywiście nie wychodzi bez pożytku dla gromady. Prócz tego jest korrespondentem do kilku pism warszawskich, dokąd pisuje pod pseudonymem Radomczyka.

Do charakterystyki tego, bądź co bądź, nie codziennego pomiędzy ludem naszym człowieka posłuży parę rysów z jego charakteru. I tak np. ofiarowano mu stanowisko pisarza gminnego —nie przyjął tej godności gdyż „te obowiązki zajęły by mu dzień cały, pensya zaś nie starczy na utrzymanie rodziny i nie opłaca strat w gospodarstwie, a krzywdą braci przecież żyć nie myśli.“ Innej propozycyi, daleko korzystniejszej, nieprzyjął także. Władza rządowa, oceniając jego prawy charakter i wpływ korzystny jakie na włościan wywierał, chciała mu powierzyć sklep monopolowy wódki. Nie zgodził się, odmowę wprost opierając na tem że „z zasady nie chce mieć żadnego udziału w dostarczaniu współbraciom wódki, która jest dla nich materyalną i moralną trucizną.“

A oto druga wiadomość, godny zaznaczenia objaw postępu gospodarczego, zakomunikowany „Kuryerowi Codziennemu“ z Miechowa:

W powiecie tamtejszym, właściciel dóbr Kalina Wielka, p. Tomasz Dąmbski założył na małą skalę fabrykę tkanin lnianych, opartą wyłącznie na produkcyi i siłach miejscowych. Opróżniwszy w tym celu dworek na folwarku, sprowadził p. D. maszyny (systemu Jacquarda) i specyalistę z Galicyi na kierownika fabrykacyi, która jednak z początku musiała być szkołą, ponieważ właściciel postanowił przygotować robotników z ludności wiejskiej miejscowej. I powiodło się doskonale.

Znalazło się dość parobków, którzy chętnie zamienili kosy i cepy na warsztat tkacki, a dziewczęta rade przeszły od sierpa do szpulki. Wielu wprawdzie nauczywszy się nowej roboty, porzuca niewdzięcznie swoją szkołę, aby szukać karyery w świecie; zastępują ich nowi adepci, a właściciel nie żali się na to. Ostatecznie przedsięwzięcie stanęło tak, że wyrabiane są płótna lniane od najgrubszych do najcieńszej „weby,“ ręczniki, chustki i t. d., a wyroby znajdują zbyt dość łatwy i coraz szerszy.

Łącznie z fabryką tkacką p. Dąmbski zaprowadził na szerszą skalę uprawę lnu, mało dotąd w okolicy praktykowaną. Jestto okoliczność ważna zasadniczo, albowiem nadaje głównie przedsiębiorstwu charakter zgodnie z zasadą gospodarstwa przemysłowego.“

Takie to wiadomości poczerpujemy z pism codziennych i dzielimy się niemi z szanownymi czytelnikami „Bluszczu,“ albowiem są godne uwagi i naśladownictwa. Zadługo lud nasz spał, zadługo szlachta drzemała, dziś się obaj bracia rozbudzają, pierwszy z samowiedzą konieczności nauki, drugi konieczności pracy na polu przemysłu domowego. Wszystkie objawy podobne witamy z radością wielką, bo ruch, czyn—to życie, wyczekiwanie zaś bezmyślne nieprzylatujących na zawołanie aniołów niebieskich - prowadzi do śmierci duchowej, która od fizycznej jest stokroć gorsza.

??

Rozwiązanie kwestyi tanich mieszkań

przez kobietę.

Usiłowania dawniejsze i zabiegi czynione w danej chwili, ażeby biednym ludziom dać odpowiednie tanie i zdrowe mieszkania, kwestyi, ogólnie biorąc, nie rozwiązały. Bez względu na to czy starania podjęte zostały przez jednostki zabiegliwe, czy też przez zasobne towarzystwa akcyjne, które zadawalniały się minimalnym dochodem—sprawa, dotychczas przynajmniej, pomyślnie rozwiązaną nie została, wyłączając jedyny wypadek, o którym powiemy szczegółowo. Któryś z niemieckich ekonomistów wyrzekł głęboką prawdę: „die Wohnfrage ist eine Lohnfrage!“ Najbiedniejszy nie ma swojego chociażby najskromniejszego schronienia, mieszka kątem u innych biedaków, dzieli z niemi najgorsze warunki zdrowotne, i partycypuje w ich niedoli lub sprowadza na nich chorobę i nieszczęście. To samo dzieje się w Anglii, w której przemysł i zarobki tak wysoko stoją, to samo w Niemczech, gdzie praca rąk bez porównania lepiej się opłaca aniżeli u nas. Tam wyrobnik pobiera 2 marki dziennie, u nas zaledwo 50 do 60 kopiejek. Świąt tam bez porównania mniej a dni zarobkowych więcej.

A gdy nadejdzie zima i zabraknie w ogóle pracy, położenie staje się wprost rozpaczliwem. Z czegoż w tych okolicznościach opłacać chociażby najnędzniejszą izdebkę? Orzeczenie: „die Wohnfrage ist eine Lohnfrage,“ chyba nowych dowodzeń nie wymaga!

Domy fundacyi Peabody, przeznaczone przez ofiarodawcę dla „potrzebujących i biednych,“ jakkolwiek dużo dobrego zdziałały, jednakże nie wypełniły myśli zasadniczej filantropa. To samo odnosi się do innych londyńskich towarzystw. Popyt o mieszkanie jest wprost olbrzymi; próżnych pokojów nie ma wcale, a lista kandydatów na mieszkania w razie opróżnienia jest zawsze przepełniona.

Wynika ztąd, że Zarząd fundacyi Peabody, przy wyborze nowych lokatorów staje się coraz bardziej wybrednym, przyjmując robotników należących do najlepszych klas, a ci „biedni i potrzebujący“ najbardziej—figurują tylko na liście, lecz mieszkań nie otrzymują nigdy!

Jedyny, znany nam bliżej przykład rozwiązania kwestyi i to przez kobietę, przez biedną, w dodatku nauczycielkę, zasługuje ażeby w piśmie, przeważnie dla kobiet przeznaczonem o wypadku tym obszerniej nieco pomówić.

Nazwisko tej nauczycielki miss Octavia Hill. Uczyła malarstwa i języka łacińskiego, środków własnych nie posiadała a obracała kapitałem po największej części wypożyczonym. Początek działalności miss Hill sięga 1864 roku, a wyrażał się on w kierunku zakupu kilku małych domków.—Na początku bieżącego dziesięciolecia kapitał, jakim obracała miss Hill, wynosił już pół miliona rubli. Posiada ona w najbiedniejszych dzielnicach Londynu szereg starych i nowych domów, a kapitalistom, którzy jej chętnie przyszli z pomocą pieniężną opłaca—jak na stosunki Londyńskie wysokie dość odsetli 4 do 5%.

Działalność i znakomite powodzenie tej wyjątkowej postaci tłómaczy się nietylko jej zaletami osobistemi; odgrywają tu jeszcze ważną rolę stosunki miejscowe angielskie tak od naszych odmienne. — Przedewszystkiem wyjaśnić sobie musimy kwestyę własności gruntu. Londyn po największej części jest własnością kilku bogatych rodzin, grunta na własność nabyć bardzo trudno.

Chcąc dom zbudować, opłaca się, za pewną z góry określoną ilość lat, dzierżawę roczną (leasehold). Po upływie okresu kontraktem przewidzianego, grunt i domy na nim zbudowane, przechodzą z powrotem do właściciela gruntu. Okoliczność ta jest niezmiernie ważną, zarówno gdy buduje właściciel gruntu lub dzierżawca. W pierwszym wypadku, gdy właściciel nie dla siebie buduje, nie troszczy się on o konserwacyę gmachu, który na szereg lat odnajmuje; buduje więc licho, mało się troszczy o to, co będzie, a pozostawia troskę lokatorowi, który podtrzymuje dom o tyle o ile konieczność absolutna tego wymaga; unika przedewszystkiem gruntowych przeróbek lub reperacyi —gdyż korzystałby z tej pracy kto inny, gorzej sprawa przedstawia się w drugim wypadku, to jest wtedy gdy na gruncie nie swoim buduje dom dzierżawca.

Wypadek ten przeważa w Londynie. Buduje on wówczas z takiem rozliczeniem ażeby przy końcu terminu, dzierżawnego dom kwalifikował się do rozbierki. Im krótsza dzierżawa, tem lichsza budowa.—Reperacyi gruntownych, szczególnie pod koniec terminu, unika się z zasady, gdyż praca taka i nakład z nią związany stanowiłyby podarek dla właściciela gruntu.

Pod koniec terminu dzierżawy, domy tego rodzaju znajdują się albo w stanie grożącym zawaleniem lub też przedstawiają tyle stron ujemnych, że jedynem przeznaczeniem ich być może schronienie dla klas najuboższych.

Z tej specyalnej nędzy skorzystała bardzo rozumnie miss Octavia Hill, uprzytomniwszy sobie jak wielkie pole do działania przedstawiają właśnie te nędzne, grożące zawaleniem domy, z któremi ani właściciel gruntu, ani dzierżawca kilka lat przed ekspiracyą kontraktu nie wiedzieli co począć? Ona ujęła tę sprawę w swoje ręce, nabywała za tanie pieniądze prawo do dalszej dzierżawy lub zawierała nowe kontrakty dzierżawy z właścicielami gruntów, rozpoczęła na wielką skalę odrestaurowywanie tych domów a równocześnie z tem zwróciła uwagę na los i konieczność wyrwania zdziczałych lokatorów swoich z nędzy rozpaczy i pijaństwa.

Tylko tym lokatorom, którzy nie zmienili trybu niemoralnego życia, o których poprawie Miss Hill sama zwątpiła, tym tylko wymawiała mieszkanie. Gdy dom zakwalifikowanym zostaje do zburzenia miss Hill lokatorom swoim zawczasu wyszukuje i naznacza mieszkanie w innych domach.

Poprawek w domach miss Hill dokonywa tylko o tyle, o ile niezbędna konieczność tego wymaga. Ulepszenia zaś w mieszkaniu i udogodnienia wewnętrzne zależą od lokatora i od jego zdolności poszanowania i skorzystania z podobnych ulepszeń. Na remont domu przeznacza się roczna kwota; gdy suma ta wyczerpaną nie została, pozostająca reszta używa się stosownie do życzeń lokatorów.—Zasada taka okazała się w skutkach bardzo pożyteczna, albowiem lokatorzy, którzy dawniej tłukli szyby, rozbijali drzwi i okna, starali się w następstwie o możliwe zaoszczędzenie kosztów na remont przeznaczonych, byleby tylko pod koniec roku uczyniono zadość jednemu z życzeń jego lub jego rodziny.

Jedno z wymagań surowo przez miss Hill przestrzeganych jest *punktualne płacenie komornego*. Zaległości wyższej po nad zapłatę tygodniową miss Hill nie dopuszcza. Opłata w domach miss Hill wynosi za mieszkanko jedno izbowe od 60 kop do 1 r. k. 20 tygodniowo gdy tymczasem cena ogólnie w Londynie praktykowana jest w dwójnasob wyższą a mieszkanie dużo gorsze. Jak ogromnie cenioną jest działalność miss Hill przez lokatorów samych dowodzi fakt, że samo zagrożenie wymówienia mieszkania starczy, ażeby rachunki zaległe natychmiastowo były uporządkowane

W tych wypadkach, w których opóźnienie zapłaty wynika z braku roboty, o czem miss Hill dokładnie bywa zawsze informowaną, dążeniem jej jest wyszukanie dla niego pracy. A pracę dostarczy po największej części sama, zalecając drobne poprawki w domach, czyszczenie, porządkowanie i czynności, które właśnie dla takich lokatorów z góry rezerwuje.

Przy tak zakreślonym planie miss Hill, mając lokatorów istotnie z klass najbiedniejszych, wypłaca swoim kapitalistom regularny i dość wysoki procent.

Wpływ miss Hill wyraża się jednak nie tylko w kierunku zabiegliwej administratorki—jest ona wychowawczynią klasy ludzi najbardziej zdziczałej, trudnej do pokierowania a jednak rezultaty przez nią osiągnięte są wprost zdumiewające. Ona nauczyła ich czystości, ładu, porządku—ona stała się dla nich przyjaciółką, spieszącą z pomocą, radą w nieszczęściu; ona odrywa męża od nałogu pijaństwa i wraca go rodzinie, zachęca go do oszczędności i przyzwoitego sposobu życia.

Miss Hill powołała do pomocy cały kontyngens pomocnic młodych i starszych, kobiet zamężnych i wolnych i wytworzyła tą drogą dla pracy kobiet pole niezmiernej doniosłości i znaczenia społecznego.

Dla tych, którym notatka powyższa byłaby nie dostateczną i którzy zapragnęli by nieco więcej szczegółów odnośnie do sprawy i działalności miss Hill polecamy dziełko wydane w języku ang. w roku 1883 pod tytułem: „Octavia Hill, Homes of the London Poor.“

E. S.

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-ch częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg).

IX.

Na zjeździe Wiślickim, który się odbył wkrótce po elekcyi postanowiono, by cała szlachta pod utratą majątku stawiła się pod bronią w celu odparcia Maksymiliana, zbliżającego się ku granicom

Chorąży, choć stary, nie chcąc się od tego usuwać, pośpieszył na wezwanie; obawiał się jednak zostawić córkę samą w domu, teraz, kiedy po okolicy włóczyły się oddziały Zborowskich i nawet senatorowie nie byli wolni od ich gwałtów. Stanisław Tarnowski, kasztelan sandomierski został napadnięty niedawno we własnym domu przez Andrzeja Zborowskiego, z powodu jakiejś urazy, którą pan marszałek żywił ku niemu. Kilku dworzan padło w obronie swego pana, a sam kasztelan z żoną i córkami w więzach odwiezieni zostali do Wiślicy, którą już Krzysztof ze swemi hufcami opanował. Ponieważ w tym samym czasie Szafraniec zrzekł się godności wojewody sandomierskiego, nie było więc komu wdać się w tę sprawę, i Tarnowski dopiero później wypuszczony został, zrzekłszy się uroczyście praw do starostwa stobnickiego, jabłka niezgody.

Chorąży po namyśle postanowił odwieźć Magdzię pod opiekę siostry swej żony, pani kasztelanowej zawichostskiej, która od czasu swojego wdowieństwa przemieszkiwała w Krakowie.

Przygotowania do podróży wprędce się odbyły i Magdzia, obiegłszy wszystkie kąty domu, którego dotąd nie opuszczała nigdy, żegnana ze łzami przez panią Katarzynę i wszystkich domowników, wyjechała wreszcie z ojcem w drogę do Krakowa. Siwy proboszcz, stojąc na ganku, znaczył za nimi krzyżyk w powietrzu; przez wieś wszędzie zatrzymywali ich chłopi, żegnając kochaną panienkę, z życzeniem szczęśliwej podróży i rychłego powrotu.

Chorąży uprzedził listem kasztelanowę o swoim przyjeździe, prosząc ją by przyjęła na jakiś czas pod opiekę siostrzenicę. Kasztelanowa odpisała, że rada ujrzy oboje u siebie i że gotowa zaopiekować się dziewczyną na jak długo pan brat sobie życzy, zarówno przez pamięć siostry, jak i przez przyjaźń dla niego samego.

Mimo te uprzejme słowa, serduszko Magdzi biło mocno, gdy późnym już wieczorem wjechali w mury Krakowa, przesuwając się przez wązkie, ciemne ulice, oświetlone zaledwie jakimś zbłąkanym, padającym przez szpary okienic promykiem. Wszystko jej się wydawało dziwne i straszne, te domy wysokie, które zupełnie prawie zasłaniały niebo gwiaździste nad głową, ten cichy teraz rynek, ze wznoszącemi się czarno Sukiennicami i z wieżą Maryacką, która rosła jakoś ku niebu, niby strażnica uśpionego grodu; nawet głos stróża nocnego, rozlegający się w ciemności, napełniał ją mimowolnym strachem.

Wreszcie stanęli na ulicy Floryańskiej, przed kamienicą kasztelanowej, jedną z najstarszych w mieście. Dokoła było ciemno, nad bramą tylko wisiał obraz Najświętszej Panny, z płonącą przed nim lampką. Wstąpili do wielkiej sklepionej sieni, o kamiennej posadzce i ścianach, na których widniały spłowiałe już malowania z historyi Tobiasza. Wązkie, kamienne schody, prowadzące do komnat kasztelanowej oświetlone były tylko przez lampę, wiszącą przed posągiem Św. Floryana, stojącym w niszy.

Komnata, do której weszli, miała ciemne obicia i wązkie, o szerokich framugach okna; ogień, płonący hojnie na ogromnym, z herbową tarczą, kamiennym kominie, rozweselał jej posępną powagę. U komina, w wysokim krześle, siedziała niemłoda już matrona. Ubrana w ciemne szaty, w bogatym aksamitnym, ze złotemi koronkami czepcu, w łagodnem oświetleniu lampy, od pierwszego wejrzenia imponowała ona obliczem zdradzającem ślady wielkiej piękności, ale w niczem nie przypominającem oblicza chorążyny. Zamiast łagodnej słodyczy, twarz miała wyraz dumy i rozkazujący i Magdzia z trwogą prawie przystąpiła, by złożyć jej pocałunek na ręku tej nieznanej niemal ciotki, którą w dzieciństwie zaledwie widziała parę razy.

— Więc to wasza córka, panie bracie?—rzekła po pierwszem przywitaniu, przypatrując się jej, pani Kłoczewska. — Jakże urosła! ktoby się spodziewał, że z tego dziecka tak prędko zrobi się dziewczyna i do tego jak łątka. Żywy konterfekt nieboszczki mojej siostry,—świeć Panie nad jej duszą.

Wspomnienie zmarłej siostry zdawało się ją rozczulać i z uczuciem pocałowała w czoło pochylającą się ku niej Magdzię.

— Siadajcież, panie bracie, przy kominie i mówcie jako się wam podróż powiodła, — rzekła do chorążego.—Siadaj i ty, moje dziecko, tu, przy mnie. Jakże się zowiesz? Wiem, że masz na imię Magdalena, jak nasza babka nieboszczka, ale jak cię w domu nazywają?

— Magdzią, cioteczko, — odrzekło nieco już ośmielone dziewczę.

— Ładne masz imię, moje dziecko,—odrzekła kasztelanowa, ujęta jej serdecznym tonem. — Więc nie boisz się zostać na jakie parę miesięcy w tej starej kamienicy, ze starą ciotką?

— Czegóżbym się bać miała?—odrzekła Magdzia, coraz więcej nabierając śmiałości, — ja wiem, że jak mię cioteczka pozna, to będzie kochać choć troszeczkę... bo ja cioteczkę już pokochałam,—dodała z przymileniem.

— Ej, filutko, chcesz mię ułowić na miód słodkich słówek, - rzekła, grożąc jej, kasztelanowa;—znam ja się na tem.

— Doprawdy cioteczko, że nie! — zawołała Magdzia.

— No, no, wierzę ci, moje dziecko, — rzekła matrona. — Zapytywałam dlatego, czy się nie boisz zostać ze mną, że żyję bardzo samotnie i oprócz do kościoła, nigdzie nie chodzę i nikt u mnie nie bywa. oprócz kilku takich leciwych i poważnych jak ja gości. Pamiętaj więc, że nudzić się będziesz, jeśliś przywykła do ludzi.

— O, ciotuchno,—zawołała Magdzia, śmiejąc się szczerze, — czy ciocia myśli, że u nas dużo ludzi można widzieć? Gdybym do nich przywykła, tobym się chyba wiecznie nudziła!

— Cieszy mię to, że możesz się bez nich obejść,—rzekła kasztelanowa poważnie. — Mam więc nadzieję, że się zgodzimy z sobą, nieprawdaż, Magdziu?

— O tak, ciociu kochana, — rzekła Magdzia, całując jej rękę.

Kasztelanowa rozpoczęła rozmowę z chorążym, wypytując go o różne rzeczy; ale przy wieczerzy już nie puszczała od siebie Magdzi. upodobawszy ją sobie bardzo.

Przy odjeździe rzekła, gdy chorąży dziękował jej za Magdzię:

— Ja wam raczej dziękuję, panie bracie, żeście mi przywieźli dziecko mej drogiej siostry. które rozweseli nieco mój dom samotny. Możecie być spokojni o nią; wiem już, że nie będę z nią miała żadnego kłopotu, gdyż dobre to dziecko i nie wiem czy ją wam tak prędko oddam jakeście myśleli.

Magdzia więc została w Krakowie u ciotki, która sama nie mając dzieci, pokochała ją bardzo przy bliższem poznaniu Dziewczę również przywiązało się do niej wkrótce, choć pani kasztelanowa, mimo dobroci, była dość surową i rozkazującą; z nikim nie czyniła ceremonii i każdemu prawdę mówiła w oczy bez ogródki.

Magdzia wiodła tu życie niemniej jednostajne niż na wsi, uczęszczając z ciotką do Maryackiego kościoła, którego widok wprawiał ją w zachwyt zarówno jak i nabożeństwo, odprawiające się z nieznaną jej dotąd uroczystą wspaniałością. To też modliła się zawsze tak gorąco, że zaledwie zwracała uwagę na malowidła, strojące ściany, oraz na barwny, świątecznie przybrany tłum, wypełniający świątynię. Powróciwszy do domu! dotrzymywała towarzystwa ciotce, pomagając jej w robotach kościelnych, wieczorem zaś udawała się do swej komnatki na górce i tam, stojąc przy oknie i patrząc na niebo gwiaździste, przezierające przez wycinane dachy kamienic, lub też na stary gród powoli usypiający u jej stóp, modliła się albo myślała o ojcu i Bobrowicach.

* *
*

Tymczasem hetman przyciągnął już z Wiślicy, którą Zborowscy opuścili, — do Krakowa, gdzie lada dzień spodziewano się ujrzeć Maksymiliana pod murami miasta. Stolica napełniła się żołnierstwem. Poczęto sypać okopy i naprawiać szańce, co chwila oddziały wojsk hetmana, Mikołaja Zebrzydowskiego lub Farensbacha przeciągały ulicami. Rozdzielono obronę w ten sposób: Andrzej Tęczyński. jako kasztelan krakowski, wziął na się obronę miasta, Mikołaj Zebrzydowski, jako starosta, bronił zamku. Farensbach przedmieście Kazimierz, sobie zaś hetman zostawił Kleparz. Niektóre dalsze domy Zamojski kazał spalić a mieszkańców przyjęto do miasta. Mieszczanie gorliwie pomagali piechocie sypać szańce i okopy, wezwano także lud wiejski z okolic. Z tym większym zapałem brano się do obrony, iż wiadomo było, że Zygmunt już w Gdańsku stanął. Nie trwożyła nawet wiadomość, że Maksymilian tylko o dwa dni drogi od Krakowa się znajduje. Pełno było w mieście ruchu i gwaru; wszyscy obiecywali sobie dobrze przyjąć Maksymiliana, gdyby się odważył podstąpić pod mury miasta.

Pan Ignacy, o ile tylko pozwalały mu obowiązki przy hetmanie, przychodził na ulicę Floryańską odwiedzić siostrę. Kasztelanowa, choć go łajała często miała do niego słabość, bo zawsze umiał ją rozśmieszyć. Nieraz zasiedział się do późna, opowiadając jej rozmaite rzeczy, z których się śmiała serdecznie.

— Ej, pusta u waści głowa, panie Ignacy, — mówiła w końcu.

— Kochana ciociu, — odrzekł pan Ignacy, — powiedzcie, co by ja z nią robił, jeśliby pełną była? Przecie to kłopot; ten, kto coś posiada, wiecznie się lęka, by nie stracić, a goły rozboju się nie boi.

— Idź, idź, szaleńcze,—odrzekła kasztelanowa,—bo gdy tak późno będziesz wracać, to jeszcze ktoś gotów się pokusić i na twoją głowę. chociaż pusta.

* *
*

Maksymilian, uważając posłów, przez zjazd Wiślicki wysłanych tylko za posłów Zamojskiego, zatrzymał ich w swym obozie pod strażą, a sam wielkimi krokami zbliżał się do Krakowa. Zaprzysiągł on już w Ołomuńcu pakta konwenta i prowadził za sobą sześć tysięcy wojska, składającego się: z Niemców, Szlązaków i Morawczyków. Zborowscy i Jazłowiecki przyłączyli się doń z hufcami około dwóch tysięcy.

Wysłał do Krakowa posła swego Herbersteina, lecz ten nie został dotąd wypuszczonym, aż dał słowo, że albo wyjedna uwolnienie Tarły, zatrzymanego w obozie arcyksięcia, albo sam powróci, oddać się w ręce Zamojskiego.

Zabrano się też z jeszcze większą starannością do sypania okopów; od uliczki Garbarskiej do Zamku, ztamtąd ku Wiśle i Kazimierzowi miały stanąć wały obronne. Na ulicach widać było tylko fury ziemi, prowadzone przez wieśniaków a turkot i gwar przez cały dzień nieustawały.

Tylko na ulicy Floryańskiej było dość cicho i żaden gwar nie dochodził do komnaty, gdzie siedziała kasztelanowa z Magdzią.

Pan Ignacy tylko co odszedł, opowiedziawszy wszystko co wczoraj mówili senatorowie zgromadzeni w kościele Panny Maryi, odprawiając publicznie Herbersteina do obozu Maksymiliana. Kasztelanowa rzekła po jego odejściu:

— Oby jaknajprędzej już przybył nasz król prawdziwy, a wnet by nieprzyjaciel oddalił się na sam dźwięk jego imienia. Już ofiarowałam się, że codzień, rano i wieczór będę odmawiać koronkę na tę intencyę.

— To i ja będę cioci w tem towarzyszyć,—zawołała Magdzia. — Takbym pragnęła, by się to już prędzej skończyło; tak smutno patrzeć, gdy bracia przeciw braciom powstają.

— Dobrze, moje dziecko, będziemy się razem modlić o to.

Nagle rozległ się ponury, jednostajny dźwięk dzwonu. Jednocześnie na ulicy powstał jakiś hałas i bieganie; ludzie zaczęli skupiać się w gromadki i coś żywo rozprawiali, inni zaś biegli w stronę wałów. W tem przez ulicę przeleciał na spienionym koniu goniec od hetmana, krzycząc:

— Na wały! kto żyw, na wały! Nieprzyjaciel pod miastem!

Widać było mieszczan po kilku wychodzących z domu, z bronią na ramieniu udających się na okopy. Wreszcie rozległ się tentent i oddział jazdy kasztelana krakowskiego popędził ku bramie miejskiej. Oknami wyglądały głowy zatrwożonych niewiast.

Magdzia z bijącem sercem patrzyła na te wszystkie przygotowania: ujrzała jak przez całą szerokość ulicy; ze zgrzytem przeciągano wielkie łańcuchy żelazne, by w razie wtargnięcia nieprzyjaciela w ulicę, pierwszy impet został przez nie powstrzymany. Na rozkaz kasztelana krakowskiego pozamykano wszystkie bramy miejskie, cisza zaległa ulice, wszyscy albo pobiegli na wały albo pochowali się po domach. Strach wielki padł na miasto, bo okopy w wielu miejscach były jeszcze nieukończone i Maksymilian zeszedłszy znienacka, łatwo by mógł je zdobyć.

W komnacie, gdzie się znajdowała kasztelanowa, zciemniać się już zaczynało, bo wązkie okna mało przepuszczały światła; pani domu chodziła wzdłuż i wszerz niespokojnie; Magdzia stała w oknie, nie spuszczając oczu z ulicy. Słudzy kasztelanowej pozamykali bramy kamienicy, zaciągnąwszy je sztabami żelaznemi.

Nadstawiano ucho w stronę wałów, lecz nic słychać nie było. Przeszło kilka godzin takiego oczekiwania, wreszcie pozostali po domach ośmieleni ciszą, zaczęli wychodzić, patrząc, z której strony idzie ów zapowiedziany nieprzyjaciel, lecz ciemny wieczór jesienny zapadł już nad miastem i nic widać nie było.

Powrócili w końcu ci, co wyszli na wały, przynosząc pocieszającą wieść, że Maksymilian idąc z rozwiniętemi chorągwiami, wojsko swoje tylko pokazał i natychmiast do Mogiły odciągnął.

Niezadługo przybył Tarło, wypuszczony przez Maksymiliana. Przywiózł on listy do senatu, do posłów, do duchowieństwa do Akademii i do Magistratu. Za nim nadjechali i inni posłowie Wiśliccy wraz z Herbersteinem.

Hetman zgromadził znów senatorów: prymasa, biskupa Goślickiego, Tęczyńskiego i innych, by odczytać publicznie listy i stosownie na nie odpowiedzieć.

Były one pełne obietnic i uprzejmości, oraz zdziwienia, że nie chciano go wpuścić do stolicy. „Boga na świadka bierzemy, — pisał arcyksiążę,—iż prędzejbyśmy krew naszą przeleli, niż ścierpieć mogli, by całość, spokojność, zdrowie, nadewszystko wolności wasze i swobody uszczerbek jaki ponieść miały.“ Kończył prośbą, by przeciwnicy zechcieli się powstrzymać od ciemiężenia kochanych jego poddanych.

— Odpowiedź stanów koronnych wkrótce wam będzie doręczoną, mości panie pośle, — rzekł biskup Goślicki.—Bardzo nam markotno, że jego arcyksiążęca mość tak się dała złudzić kilku wichrzycielom, którzy utrzymywali widać przed nim, że cały naród gotów na jego przyjęcie.

— Chciałem jednak wszelkiemi siłami oszczędzić zawodu jego arcyksiążęcej mości, — ozwał się hetman. — Gdy pod Wiślicą otrzymałem list od niego, w którym donosił mi, iż przybywa do Krakowa po insygnia królewskie,—cóż wówczas odpowiedziałem mu? Uprzedziłem go otwarcie, z całą czcią, należną jego osobie, aby bacząc na dostojeństwo własne, nie zbliżał się zbyt do Wiślicy, gdzie naród zgromadził się na narady, gdyż mogłoby to być przyczyną niejednej nieprzyjemności dla jego przezacnej osoby. Lecz widno, że podszepty fałszywych doradzców przeważyły i jego arcyksiążęca mość zmierza ku naszej stolicy. Atoli winniśmy go uprzedzić, że jeśli tylko zechce wejść tutaj, to choć z wielkim żalem naszym, ale będziemy zmuszeni odeprzeć go zbrojną ręką. Nie chciałbym jednak by doszło do onej smutnej konieczności, dlatego postaramy się w dzisiejszych listach wywieść jego arcyksiążęcą mość z błędu.

Poseł, choć i sam widział dobrze jak sprawa stoi, chciał jednak udawać, że jest lepszej myśli, rzekł więc z udanem zdziwieniem:

— Więc mam powiadomić mego dostojnego pana, iż bramy jego stolicy zamknięte przed nim?

— Oddacie mu nasze listy, a on już sam z nich dowie się o wszystkiem,—rzekł biskup Goślicki.

— Bardzo jestem rad temu, — rzekł Herberstein z uśmiechem układnym, gdyż wyznaję, że nie wiedziałbym w jakich słowach opowiedzieć mu rzecz tak niesłychaną.

— Dość będzie jeśli mu tylko opowicie, coście tu u nas ujrzeli,—rzekł szorstko Zebrzydowski, a jego arcyksiążęca mość będzie wiedział jak się przygotowujem na jego przyjęcie.

To mówiąc, wskazał ręką w stronę okopów, zapełnionych zbrojnym ludem.

Wkrótce Herbersteinowi do mieszkania przyniesiono odpowiedź stanów koronnych; przytem ponieważ do każdego stanu osobno pisał, od każdego też osobny poseł. Od senatu Jan Miaskowski, kasztelan Żarnowski, od duchowieństwa Jan Krasiński, kantor krakowski, od Akademii i Magistratu znów osobni delegowani. Mieli oni oświadczyć, że nadziei do tronu Maksymilian żadnej żywić nie może i wyznaczyć mu dzień, w którym z Rzeczypospolitej z wojskami miał ustąpić.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zabobony, czary i czarownice w Królestwie Polskiem.

Jest to właściwością duszy ludzkiej, że wszystko, co leży po zagranicami zmysłów naszych, wabi nas i nęci nieprzepartym urokiem lub grozą swej tajemniczości. Duch nasz, pragnąc uchylić zasłonę, która skrywa przed nim tajemnicę życia pozagrobowego, puszcza się nieraz na błędne ścieżki i manowce—jeśli religia nie rozświetla mu tych tajemnic i nie zaspakaja pożądliwej jego ciekawości. Ztąd to pochodzi wiara w przesądy, zabobony i czary, jaką widzimy u wszystkich ludów—szczególniej w dobie młodzieńczej ich rozwoju—pod mrokiem ciemnoty pogaństwa. Wierzenia owe, będąc podówczas częścią składową religii bałwochwalczej, głęboko zapadają w ducha narodu—i jako pierwiastki mu swojskie — trzymają się go długo jeszcze nawet wtedy, gdy z mroków pogaństwa inaród wyjdzie na blask religii chrześcijańskiej rzeczy dotąd niejasne i niezrozumiałe staną się dlań widne w świetle wiary świętej. Rzecz naturalna, że niższe warstwy narodu, lud prosty, jako żywioł wszędzie zachowawczy i mniej dostępny oświacie, uporniej i dłużej się trzyma wierzeń ojców swoich—i szczególniej form dawnych, tradycyą uświęconych, choćby nawet wewnętrzna treść jego wierzeń znacznej podległa zmianie. Ztąd nieraz widzimy u ludu zwyczaje, sięgające w zamierzchłą przeszłość, praktykowane przezeń z największą ścisłością form zewnętrznych—których jednak sensu i pochodzenia dziś już sam lud nie rozumie. Przestrzega ich jednak wiernie, kocha, czci i szanuje, jako rzecz bardzo starą—a świętą, przekazywaną przez ojców wnukom w ciągu stuleci, jako wreszcie jedyny wyczuwalny węzeł, który łączy dni dzisiejsze z dawną ubiegłą przeszłością. Pomimo ogólnego podkładu tych wierzeń, różne jednak strony mają różne odmiany wierzeń zabobonnych, jako naturalny skutek odrębności etnograficznej, narodowościowej i religijnej. Wierzenia i zabobony na Ukrainie i Podolu są odmienne od tych, jakie przechowują się na Litwie; w Królestwie zaś lud posiada właściwe sobie wierzenia, nieznane mieszkańcom stron innych.

Ponieważ przesądy i zabobony u ludu są po większej części przywiązane do najzwyklejszych jego zatrudnień codziennych, do życia domowego lub pracy w polu—chcąc więc poznać główniejsze z tych wierzeń przypatrzmy się chłopkowi, jak to on żyje—pracuje—jak się weseli lub smuci. Każdej bowiem z tej czynności towarzyszą właściwe jej a nieraz bardzo ciekawe przesądy i formy.

Oto młody wieśniak, ożeniwszy się, urządza sobie własne gospodarstwo, na którem ma siąść i pracować przez życie całe. Najprzód więc przystępuje do stawienia chaty: wybiera dla niej miejsce, uważając przytem pilnie, aby nie było to krzyżowanie się dróg lub gościńców, na takiem bowiem miejscu najczęściej czart przebywa i w chacie tam postawionej nie zamieszkałoby nigdy szczęście. Wybrawszy więc stosowne a dogodne miejsce, zakłada podwaliny chaty, i na każdym jej końcu kładzie na noc po kawałku chleba. Pięknie mówi ten zwyczaj, że każdy rolnik na chlebie zakłada podstawę życia swego i wszelkiej pomyślności,—wierzy też on najmocniej, że w chacie w ten sposób zbudowanej nie zabraknie chleba. Nigdy przytem nie buduje chaty z drzewa, obalonego przez burzę lub piorun;—w jego bowiem mniemaniu czart—to sprowadza każdą zawieruchę i burze. Chatę zwykle stawia wzdłuż, a nigdy je po za podłużny nie rozszerza okap—w ten bowiem sposób dałby dyabłu do chowania się byt obszerniejszy. Być może, że to wierzenie i zwyczaj powstały ztąd, że każde takie rozszerzenie chaty świadczy o zbogaceniu się gospodarza, który aby pomieścił więcej dobra potrzebuje obszerniejszego mieszkania i schowku—służy więc tem samem przynętą złoczyńcom i rabusiom.

W obawie tego przynęcania—dziadowie jego nie rozszerzali w taki sposób chat swoich—a dziś wieśniak postępuje podobnie, lecz wcale już z odmiennej przyczyny.

Zabudowawszy chatę całą przez cały rok nie poszywa otworu w dachu, wprost nad sienią, wierząc, że tym otworem wylatywać będą z chaty biedy i troski.

Dyabeł siedzi zazwyczaj w pozostałym kominie po rozwalonej chacie, dlatego chłop nie odważy się dotykać takiego pieca ani go rozbierać na budowlę.

Każdy zamożniejszy gospodarz ma przy swojej chacie ogród z warzywem i przynajmniej kilka drzew owocowych. Gdy takie drzewo nie rodzi, chłop w Wigilię Bożego Narodzenia wychodzi do sadu z siekierą, zlekka podcina nierodzące drzewo i machając siekierą w powietrzu trwoży je i straszy, sądząc, że w tę porę, gdy Pan Jezus na świat przychodzi, wszystko w naturze rodzić powinno, a więc i drzewo rodzić może, tylko nie chce. Bzu, jeśli ma go w ogrodzie, nie podkopuje, wierzbę zaś od reszty sadu odgradza, wierząc, że w wierzbie—szczególnie zaś spróchniałej—przesiaduje dyabeł pod postacią puszczyka i swym krzykiem śmierć jednego z mieszkańców chaty przepowiada. Ztąd urosło przysłowie: „zakochał się, jak dyabeł w suchej wierzbie:“ drugie, również znane przysłowie: „w starym piecu dyabeł pali“—pochodzi ztąd, że lud wierzy, jakoby dyabeł raz przesiadywał w piecu, pozostałym po rozwalonej chacie, o czem wyżej mówiłem.

Chłopka nie użyczy ani sprzeda nasion sąsiadce, dopóki sama nie obsieje własnego ogrodu, w przeciwnym bowiem razie wszystek urodzaj z jej ogrodu przeniósłby się do ogrodu sąsiadki. Pracom rolnym chłopa również wiele towarzyszy przesądów. W czasie nowin nie wywiezie on na swoją niwę nawozu, w obawie, aby jej przez to nie uczynił na lat siedm nieurodzajną. Zaczynając orkę, albo sam zwykł pierwszą skibą pługiem ukroić, albo daje ją ukroić temu, kto był sam u siebie gospodarzem, aby mu się na niej zboże rodziło. Zwyczaj ten ma źródło swoje w wierze chłopa, że za ubogim wślad chodzi nieszczęście, więc rola, poczęta przez biednego, nie przyniosłaby obfitych plonów. W pierwszy dzień siejby wychodzi gospodarz w pole i stawia w tem miejscu, zkąd ma zacząć sianie, bochen chleba, sól i kieliszek wody. Zatem—wpierw nim wrzuci w rolę pierwszą garść ziarna—wznosi oczy w górę i prosi Boga, by mu tyle poszczęścił w przyszłym plonie, ażeby wystarczyło dla niego i dla rodziny, dla złodzieja i dla ptaka.

Gospodyni w dniu, kiedy mąż wychodzi siać w polu, nie wydaje nikomu ognia z chaty.

Przy nadejściu czasu żniwa, gospodarz i gospodyni pierwszą garść zboża sami urzynać zwykli. Kto chowa pasiekę, ten po zachodzie słońca ognia nie wydaje z domu, aby pszczoła z jego pasieki do cudzej nie przeszła. W Wigilię Bożego Narodzenia wyściła sobie buty wyściółkami ze słomy, nosi je czas pewien, a potem kadzi niemi w pasiece, aby pszczołom przypomnieć, że się już w krótce do pracy wziąść im potrzeba, a one—wdzięczne mu za to—uciekać z jego nie będą pasieki. Wreszcie w Wielką Noc dzwoni, aby śpiące pszczoły przebudzić.

Na Boże Narodzenie stół z sianem zaściela, na podwórze zaś przed okno wynosi snop zboża, który pozostaje tam aż do trzech króli. W dzień ten wychodzi z chaty boso i w koszuli i zdjąwszy ze snopka przewrósło, opasuje niem w sadzie to drzewo, które nie rodziło, wierząc, że odtąd będzie ono piękne wydawało owoce. W czasie między Bożem Narodzeniem, a Nowym Rokiem gospodarz nie pozwala kobietom prząść kądzieli, gdyż podług wiary jego, jak wrzeciono przez czas ten kręcić się nie będzie—i również wilki nie będą się kręciły koło jego trzody.

Gdy się cielę urodzi, gospodarz do 9 tygodni ognia nie wydaje z domu, aby czarom zapobiedz.

Bydło sprzedając, nie odbiera chłop pieniędzy gołemi rękami, lecz bierze je w krawędź sukmany, z gołego bowiem ciała pieniądz się prędzej wyśliźnie, kosmata zaś sukmana w jego mniemaniu przyczyni się do dłuższego pieniędzy pobytu. Kupujący przytem prosi, aby mu z wypłaconych pieniędzy kilka groszy powrócono. Po ukończeniu targu kupujący z pod kopyt bydlęcia bierze trochę ziemi i posypuje nią krzyże jego, przemawiając, aby jak ziemia nie trzyma się gładkiej szerści, również żadna choroba nie trzymała się bydlęcia. Zapijając tak zwany na Podolu *mohorycz*, nabywca przelewa kilka kropel wódki na ziemię lub przemywa niemi swe oczy, życząc, żeby jak wódka nie szkodzi oczom jego, tak też wszelkie złe nabytemu nie szkodziło bydlęciu.

W poniedziałki i w sobotę wieśniak nigdy nie wyjeżdża w drogę z domu, jako w dzień pierwszy tygodnia i w dzień zakończenia pracy.

Burze, zawieruchy i nawałnice według wierzeń ludu sprowadzone są przez czartów. Gdy więc nadciąga po nad wieś czarna chmura, grożąca ulewą lub burzą, chłopi poczynają bić we dzwony, wierząc, że dźwiękami przerażą czarta i chmurę odgonią. Wszelako wtedy tylko—w ich mniemaniu—skutek osiągnięty być może, gdy chmura nie przeszła jeszcze granic niebios. Gdy zaś stoi już po nad wsią—wówczas czarci grzmotami starają się zagłuszyć dźwięk dzwonów i wtedy niełatwo ich odpędzić. Czart też wznosi w polu lub na gościńcu wichrowy słup pyłu i siedzi w tym wichrze. Można go wtedy przybić do ziemi, rzuciwszy w słup taki nożem święconym, poczem ukazują się w miejscu, gdzie czart wichrzył przed chwilą, na ziemi krople krwi. Jeżeli zaś człowiek dostanie się do środka takiego słupa, to czart go wnet porwie wraz z sobą i uniesie bez śladu.

W noc ciemną—podczas zawieruchy lub zadymki śnieżnej,—czart błąka podróżnych w polu, sprowadza ich na manowce, na błota lub trzęsawice wabi, *tumani*—jak mówi lud na Podolu i Ukrainie.

Dyabeł u ludu polskiego występuje zwykle w oryginalnej postaci: ustrojony jest we frak niemiecki z dużemi guzikami, z pod którego spada mu na brzuch długa kamizelka; na nogach ma spodnie obcisłe, pończochy jedwabne i trzewiki z klamrami; u jednej nogi wygląda mu z trzewika pazur od wielkiego palca. Na głowie wreszcie ma stosowany trójgraniasty kapelusz, z pod którego wyglądają rogi.

Wiele zachowało się w pamięci ludu naszego powieści i podań starych, w których występuje dyabeł i zawiera z ludźmi stosunki. Powieści te opowiadają, że z zapasów lub przymierz swych z chłopem polskim dyabeł wychodził ze wstydem, będąc zwyciężony przez prosty rozum i dowcip chłopa. Ztąd też dyabeł, pomimo silnej wiary u ludu w moc nieczystą, używał reputacyi głupca, którego lada bystrzejszy umysłem chłop podejść i zakpić zeń potrafi. Jedna np. z powieści opowiada o zapasach chłopa z dyabłem. Po różnych próbach dyabeł zaproponował, aby każdy z nich cisnął—o ile mu sił starczy—przeciwnika w górę. Pierwszy zaczyna

dyabeł. Chłop, wyrzucony wysoko w górę choć się stłukł spadłszy na ziemię, nie daje jednak dyabłu za wygranę, bierze dyabła w ramiona i trzymając go w ten sposób, nieruchomo patrzy na księżyc.—„Co tak ślipiesz?“ pyta zadziwiony dyabeł.—„Patrzę, czy nie widać na księżycu radźica mego, który tam mieszka,“ odpowiada rezolutny chłop—„abym podał mu cię do romion.“ Dyabeł, przelękniony taką nadludzką siłą rzucającego, wyrwał mu się z rąk i zginął bez śladu.

W przekonaniu ludu dyabeł zwykł przebywać w błotach — lasach niedostępnych — gruzach chat wieśniaczych i zamkowych ruinach. W Pieskowej Górze lud pokazuje skałę zwaną Sobola którą miał dyabeł grubszym w górę końcem postawić. Wzgórza piaszczyste w Mazowszu zowią się dyablim tańcem, lud bowiem wierzy, że to dyabły swemi skokami i tańcami nawieruszyły takie z piasku nasypy. Po lasach bujał dyabeł zwany Robita. Inny dyabeł—Iskrzycki—sługiwał u ekonoma. Boruta strzegł skarbów ukrytych w lochach zamku Łęczyckiego. Smółka i Węglik raz omało nie udusili śmierci.

Do tegoż cyklu powieści należą podania o możnych czarownikach, że przytoczymy tu choćby legendy o Twardowskim.

(Dokończenie nastąpi).

Fundusz im. J. Kamockiej.

W Przeglądzie Pedagogicznym czytamy:

Szanowny Panie Redaktorze!

Ś. p. Józefa Kamocka, przełożona Schronienia nauczycielek, której życiorys pomieszczony był w Nr 23 „Przeglądu Pedagogicznego,“ położyła niespożyte zasługi dla instytucyi, której przewodniczyła. Przy pomocy kuzyna ś. p. J. Bielskiego, nieoszacowanej wartości i zacności człowieka, uporządkowała interesa materyalne Schronienia, zasługami swemi społecznemi zniewoliła wiele osób—szczególniej pośród swych dawnych uczennic—do niesienia ofiar na korzyść ukochanej przez siebie instytucyi, ogrzewała sercem i godziła poważnione i zgorzkniałe staruszki nauczycielki, — zrozumiała konieczność zabezpieczenia przyszłości instytucyi przez wybudowanie domu, specyalnie dla niej przeznaczonego.

Myśl o tej budowie była ulubionem jej marzeniem i niczem nie można było sprawić ś. p. Kamockiej większej radości, jak składając choćby drobną ofiarę w tym celu, to też dzięki jej staraniom schronienie posiada prócz placu ofiarowanego przez J. W. Emilię Blochową—kapitału na budowę dwadzieścia kilka tysięcy rubli.

Obowiązkiem społeczeństwa jest uczcić pamięć kobiety, która nietylko życie swe spędziła w wielce pożytecznej pracy pedagogicznej, lecz pod koniec resztki sił poświęciła szlachetnej myśli niesienia ulgi biedniejszym, schorzałym i wiekiem przygniecienym towarzyszkom.

Znałem osobiście ś. p. Kamocką, zdaje mi się, iż rozumiałem jej serce—i dlatego proponuję utrzymywanie jednego łóżka, ewentualnie jednego pokoju, w Schronieniu nauczycielek imienia ś. p. Józefy Kamockiej, do którego miałyby pierwszeństwo nauczycielki języka polskiego, jako koleżanki zmarłej w zawodzie.

W tym celu składam skromną ofiarę rs. sto w nadziei, iż znajdzie się liczne koło wielbicieli zasług zmarłej, które swemi ofiarami poprze myśl moją. Gdyby się większy fundusz zebrał, mógłby być użyty na budowę pod warunkiem, aby w mającym się wybudować domu jedna sala nosiła miano sali ś. p. Józefy Kamockiej.

Upraszam redakcye innych pism o wzięcie w opiekę powyższego projektu.

Z należnym szacunkiem

Wojciech Górski.

KARNECIKI.

Wspomnienia karnawałowe.

VIII.

Jeśli chcesz wyczytać subtelne literki
Wypisane w oczach nadobnej tancerki,
Korzystaj, gdy się sposobność otwiera—
Z lansiera.
Wtedy zobaczysz, ile to się mieści
Ładnych zygzaków rozmaitej treści
W spojrzeniu jednej kobiety
A mądry będziesz, jeżeli odczytasz
Te wszystkie kropki, myślniki, przecinki,
Uśmieszki, minki,
Mrugnięcia, drwinki,
Jeśli, niestety,
Na czas je wszystkie pochwytasz
I jeśli ci się łamigłówka cała
Złoży na jakąś całość któraby ład miała!
Bo między słówkiem, spojrzeniem, ukłonem
Możesz swą własną tak zagubić drogę,
Że z ostatecznym już muzyki tonem
Wyznasz sam sobie z wielkiem oburzeniem —
— Ja drogi znaleźć nie mogę!
Pół prawdy z oczu twych pani wyziera...
Co czynić dalej?
— Zacząć znów lansiera.

IX.

Jeden karnawał jest świetny zimowy,
Gdy tańczą panny i kawalerowie,
Liczą rodzice—romansują głowy
Skleconą parę prowadzą drużbowie;
Ale jest inny karnawał na ziemi
Gdzie serce marzy, dusza płomienieje
Zakwita miłość różami pełnemi
A drużka—wiosna od szczęścia się śmieje.
Po tamtym piewszym zwykle karnawale
Idzie post wielki złudzeń, gorzkie żale,
A po tym drugim z serdeczną zapłatą
Idzie gorące, długie, zdrowe lato.
Po tamtym jesień, ściele liść pod stopy
Po tym zsypuje owoc, stawia snopy,
Tamten gdy przejdzie, to nic po nim niema
Po tym jest wspomnień kryształowa zima.

S.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 2 T. II, powieści, p. t. ***Masarenowie***, przez Ouidę. Przekład Z. S.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasowemi warunkami.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**
EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Treść: Kazimierz Gliński, przez Szczęsną (z rysunkiem).—**Z głębi ducha**, przez Szczęsną. — **Pogawędka**, przez ??—**Rozwiązanie** kwestyi tanich mieszkań przez kobietę, przez E. S.—**Bezkrólewie**, powieść historyczna w 2-ch częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg).—**Zabobony, czary i czarownice w Królestwie Polskiem.** - **Fundusz im. J. Kamockiej.**—**Karneciki.**

Dodatek obejmuje: ***Masarenowie***, powieść, przez Ouidę, arkusz 2 T. II. Przekład Z. S.—Przegląd mód. 22 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycye obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 4 Марта 1898 г.